Numer okazowy. Bezpłatny.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 9-10. Październik 1931. Rok II.

NUMER POJEDYŃCZY 80 GROSZY
PRENUMERATA KWARTALNA 2 ZŁOTE

KURJER POWIEŚCIOWY

Czasopismo poświęcone książce. Wychodzi raz na miesiąc.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona 200 Zł., 1/2 strony 110 Zł., 1/4 strony 60 Zł.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Telefon 275-03. Senatorska 29. Warszawa. P. K. O. 13.355

Kronika literacka.

„Pardaillanowie"—Michał Zevaco. To pierwsza powieść z wielkiego cyklu, którego bohaterami są syn i ojciec, potomkowie ubogiej i nieznanej linji sławnego rodu Pardaillanów. Stary Pardaillan, to typowa postać średniowiecza. Awanturnik, nędznie ubrany, nieraz głodny. W chwili ostatecznego rozbicia idzie na służbę do potężnego możnowładcy i jest nieraz używany do załatwiania bardzo ciemnych porachunków swego pana, wzdryga się jednak przed wyraźną zbrodnią. Dobre cechy biorą ostatecznie górę nad złemi i wbrew swym interesom idzie za popędem serca a nie rozsądku. Stary Pardaillan — to człowiek pełen rycerskiej fantazji, to prototyp błędnego rycerza, jakim staje się zczasem jego syn.

„Igraszki Losu" — Michał Zevaco. — Dwaj synowie potężnego rodu Franciszek i Henryk Montmorency, walczą ze sobą o kobietę, którą obaj kochają i która staje się ofiarą podstępnych knowań Henryka. Luiza, córka Joanny de Piennes, potajemnie poślubionej, a potem odtrąconej przez męża, na skutek intryg młodszego Montmorency, budzi miłość młodego Pardaillana. Miłość ta jednak jest pełna przygód i niebezpieczeństw, jak miłość jej matki do jej ojca. Los igra z kochankami, jakby szydząc z ich miłości.

„Epopea Miłości" — Michał Zevaco. Tłem historycznem niezwykłych kolei losu naszych bohaterów jest epoka panowania Henryka II i Karola IX, królów Francji. Państwem rządzi właściwie wszechwładna królowa Katarzyna Medycejska. W wir walk politycznych zostają wciągnięci i Pardaillanowie, jakkolwiek polityka nie jest ich dziedziną. Miecz, walka oko w oko z wrogiem — to ich żywioł. Uczucia proste i szczere, może gwałtowne, lecz uczciwe, oto uczucia rządzące nimi. Z takiemi hasłami na ustach i w sercu — młody Pardaillan występuje w obronie prawdy i praw ukochanej dziewczyny.

„Krwawa Noc" — Michał Zevaco. Wojna domowa we Francji dosięga szczytu napięcia. Katolicy i Hugonoci podniecani — z jednej strony przez Gwizjuszów i królowę Katarzynę, z drugiej zaś przez linję Bourbonów — występują coraz ostrzej przeciw sobie. Podczas Krwawej Nocy Św. Bartłomieja cała Francja ocieka krwią bratnią. Pardaillanowie i tu stają po stronie sprawiedliwości, wreszcie los nagradza młodą parę, która łączy się dozgonnemi węzłami.

„Menażerja" — M. Wierzbiński. Młody biolog zgromadził u siebie na folwarku czeredy najróżniejszych przestępców kryminalnych, począwszy od epileptycznego ojcobójcy, a skończywszy na szarlatanie w wielkim stylu, hochstaplerze zdradzieckim, najniebezpieczniejszym. Niby pogromca dzikich zwierząt, trzyma on w żelaznem ręku tę zgraję w celach doświadczalno-naukowych, zarówno jak i humanitarnych. Pragnie ich uleczyć, uspołecznić. Atoli podminowuje to środowisko zły duch, mianowicie ów intrygancki szarlatan — przepyszna figura sceniczna i filmowa — i knuje zdradę, by wykraść hożą eks-kokotę, która weszła na drogę poprawy, oraz obrabować i upokorzyć swego dobrodzieja. Walka między tymi mocarnymi osobnikami wypełnia powieść, obfitującą w sceny dramatyczne. Trudno w naszej beletrystyce o powieść równie fascynującą i oryginalną.

„Tajemnica Serc" — M. Łuczyńska. Autorka w powieści pod powyższym tytułem odzwierciadla całą radość i cały smutek owej tajemnicy, koronując ją wiecznem szczęściem.

„Starsi Panowie i Starsze Panie". — J. Maciejowski. Powieść osnuta na tle życia obyczajowego — warszawskiego, odznacza się doskonałą obserwacją typów Starszych Panów i Pań, oraz ich psychologją, zwłaszcza w sprawach sercowych. Autor z dużą dozą humoru potraktował echa pragnień zwiotczałych serc.

„Cnota Pana Tosia" — K. Dunin-Markiewicz. W ostatnim swym utworze K. Dunin-Markiewicz żartobliwie ujmuje zawsze aktualny temat równouprawnienia obojga płci.

Autor na barwnem tle życia Warszawy i uroczej wsi polskiej z humorem opowiada o losach wstydliwego ale pełnego temperamentu „szlagona" Tosia, który zdołał ustrzec, tak kruchy klejnot, jak przysłowiowa męska cnota i złożyć ją w ofierze po sensacyjnych perypetjach swej małżonce pięknej Oli, zredukowanej urzędniczce M. S. Z.

Książka napisana żywo, obfituje w plastyczne dosadne obrazki, robione po malarsku z rozmachem właściwym, talentowi popularnego autora.

MICHAŁ ZEVACO

Pardaillanowie.

I.

DWAJ BRACIA.

Dom był niski, parterowy, bardzo zewnętrznie niepozorny. Przy otwartem oknie, w fotelu, ozdobionym herbami, siedział siwowłosy starzec, którego twarz była typową twarzą kapitana z bohaterskiej epoki Franciszka I-go.

Wbił martwy wzrok w szare kontury feudalnego zamku rodu Montmorency'ch. Siedziba ta starożytnego rodu górowała nad okolicą, sięgając lazurowego nieba szeregiem strzelistych wieżyczek.

Wreszcie odwrócił wzrok od tego widoku.

Pierś jego podniosła się ciężkiem westchnieniem, jakby niemem przekleństwem. Rzucił pytanie:

— Gdzie jest moja córka? Moja córka?

Służąca, sprzątająca pokój, odpowiedziała:

— Panienka była w lasku, aby narwać konwalij.

Wyraz niewypowiedzianej czułości opromienił czoło starca, który uśmiechnął się łagodnie i szepnął:

— Tak, to prawda... przecież to wiosna. Żywopłoty są osypane wonnem kwieciem, każde drzewo... to bukiet. Wszystko śmieje się, wszystko śpiewa, wszędzie pełno kwiatów. Najpiękniejszym jednak kwiatem jest moja Joanna, moje szlachetne i czyste dziecię, ty jesteś...

Wzrok jego skierował się znowu na groźną sylwetkę zamku, przytulonego do podnóża pagórka. Wyglądał on jak kamienny potwór, czatujący w oddali...

— Wszystko, co nienawidzę, jest tam! — warknął. — Tam kryje się potęga, która mnie złamała, unicestwiła! Tak, ja, pan de Piennes, ongiś magnat na całą okolicę, ja jestem zmuszony teraz wieść nieomal nędzny żywot na tym mizernym skrawku ziemi, jaki mi raczył pozostawić drapieżny konetabl. Co mówię, szalony! Alboż nie stara się on wygnać mnie z tego ostatniego schroniska?! Kto wie, czy jutro moja córka będzie miała jeszcze dach nad głową. O, moja Joanno... zbierasz kwiatki... może to są ostatnie kwiatki, zebrane przez ciebie!

Dwie strugi cichych łez zorały dwiema bolesnemi bróździami jego okrytą zmarszczkami i tchnącą rozpaczą twarz.

Nagle zbladł straszliwie: jakiś czarno ubrany rycerz zsiadł z konia przed domem, wszedł do wnętrza i, złożywszy ukłon, zatrzymał się przed nim.

— Piekło! Jurysta Montmorency'ego!

— Panie de Piennes, — powiedział mężczyzna w czerni, — otrzymałem od mego pana, konetabla, pismo, którego treść mam polecenie zakomunikować panu niezwłocznie.

— Pismo, — szepnął starzec, a nerwowy niepokój wstrząsnął całem jego ciałem.

— Panie de Piennes, moja misja jest bardzo przykra: ten oto dokument jest kopją wyroku, wydanego przez parlament Paryża z datą wczorajszą, sobota, dnia 25 kwietnia roku pańskiego 1553.

— Wyrok parlamentu! — zawołał głucho pan de Piennes, który nagle wyprostował się i skrzyżował na piersiach ręce. Co za nowy cios gotuje mi nienawiść konetabla?! No! Mów waść!

— Panie, — rzekł jurysta cichym głosem jakby w zawstydzeniu, — wyrok głosi, że zajmujesz pan nieprawnie posiadłość pana de Montmorency'ego; że król Ludwik XII przekroczył swe kompetencje nadając panu na własność tę ziemię, która musi wrócić do rodu Montmorency'ch. Zapadł wyrok restytucji tego zamku, wsi, łąk i lasów w przeciągu jednego miesiąca...

Pan de Piennes nie poruszył się wcale, nie uczynił jednego gestu. Tylko coraz to większa bladość zaczęła zalewać jego twarz, poczem w ciszy, jaka zaległa salę, podczas gdy na dworze, na ukwieconej gałęzi gruszy rozlegał się śpiew piegży... w cichej sali zabrzmiał drżący głos starca:

— O mój zacny królu, Ludwiku Dwunasty! I ty znakomity Franciszku I! Może opuścicie wasze mogiły, aby przyjrzeć się temu, jak traktowany jest ten, który podczas czterdziestu krwawych bitew narażał na szwank swe życie i przelewał swą krew w waszej obronie! Wyjdźcie z mogił, królowie! Przyjrzyjcie się temu, jak stary żołnierz, obrabowany z mienia, będzie włóczył się gościńcami Ile-de-France, żebrząc o kawałek chleba!

Na widok takiej rozpaczy jurysta zadrżał.

Położył pośpiesznie na stole przeklęty dokument, cofnął się ku drzwiom i zniknął.

Wtedy murami skromnego domostwa wstrząsnął rozdzierający, ponury okrzyk:

— Moja córka! Moja Joanna! Moja córka nie ma dachu nad głową! Moja Joanna pozostanie bez kawałka chleba! Montmorency! Przekleństwo niech spadnie na ciebie i na cały twój ród!

Starzec wyciągnął przed siebie ramiona, grożąc majaczącemu przed nim obrazowi zamku... oczy stanęły mu w słup... zemdlał...

Nieszczęście, jakie go dotknęło, było istotnie straszne.

Margency, majątek, który był w posiadaniu rodu de Piennes od czasów panowania Ludwika XII, stanowił jedyną pozostałość po dawnej osobistości tego wielmoży, który zarządzał ongiś całą Pikardją.

Po utracie całej fortuny usunął się do cichego zakątka, otoczonego ze wszystkich stron dobrami konetabla. Jedyną radością, jedynym jasnym promieniem jego życia była jego córka Joanna, którą kochał namiętnie i uwielbiał.

Biedny wygnaniec z Margency był przynajmniej dotychczas pewny tego, że godność jego córki nie zostanie narażona na szwank.

Teraz i to się skończyło! Wyrok parlamentu był dla Joanny i dla jej ojca zapowiedzią hańbiącej nędzy, tragicznej nędzy, którą lud określa malowniczem wyrażeniem: c z a r n e j n ę d z y!

— — — — — — — — — —

Joanna liczyła sobie szesnaście lat. Wiotka, delikatna, dumna, pełna doskonałej elegancji była istotą, zdolną zachwycić wszystkich, była uosobieniem promiennego czaru wiosny, podobna do wdzięcznego krzaku dzikiej tarniny, skrzącej się kroplami rosy w pierwszych promieniach zorzy porannej.

26 kwietnia 1558, w niedzielę wyszła z domu o zwykłej porze.

Udała się do kasztanowego lasku, położonego tuż przy Margency.

Zbliżał się wieczór. Las pełen był ożywczej woni. Powietrze tchnęło miłością.

Znalazłszy się w lesie zgnębiona Joanna szła szybkim krokiem, przyciskając ręką silnie bijące serce i szeptała:

— Czy odważę się powiedzieć mu o wszystkiem?! Dziś wieczór! Tak, dziś wieczór wyznam mu straszliwą tajemnicę!... straszliwą, a jednocześnie jakże słodką!

Nagle dwoje silnych kochających ramion otoczyło jej kibić. Drżące wargi jęły szukać jej ust:

— Ty! Jesteś nareszcie, ukochana!

— Mój Franciszku! Mój panie!

— Co ci jest, najdroższa? Drżysz...

— Posłuchaj, Franciszku... Och! Nie mogę się odważyć...

Pochylił się nad nią... uścisk jego stał się jeszcze silniejszy.

Był to wysoki, piękny młodzieniec. Oczy jego spoglądały prosto, twarz miał łagodną, czoło wysokie i spokojne.

Młodzieniec ten nosił imię Franciszka de Montmorency. Tak! Był to pierworodny konetabla, który wydarł panu de Piennes ostatni strzęp jego fortuny.

Usta młodej pary zwarły się w pocałunku.

Złączeni uściskiem szli powoli śród kwiatów, których otwarte kielichy lały tajemnicze, odurzające wonie.

Chwilami ciałem dziewczyny wstrząsał dreszcz. Przystawała wtedy, nadstawiała ucha i szeptała:

— Ktoś idzie za nami... ktoś nas śledzi... — czy słyszysz?

— Napewno jakiś spłoszony kozioł leśny, ukochana...

— Franciszku, boję się...

— Boisz się?! Dziecko... któż ośmieli się podnieść na ciebie wzrok, gdy ja stoję przy tobie, aby cię bronić!

— Wszystko mnie niepokoi... drżę! Zwłaszcza od trzech miesięcy... Ach! Jak ja się boję!

— Najdroższa! Od trzech miesięcy jesteś moją, od owej błogosławionej chwili, gdy nasza niecierpliwa miłość pominęła prawa ludzkie, ulegając prawu natury. Od owej chwili, Joanno, jesteś pod moją opieką. Czegóż się obawiasz? Wkrótce będziesz nosiła moje imię! Skruszę nienawiść, która dzieli naszych ojców!

— Wiem o tem, mój panie, wiem! A nawet gdyby to szczęście nie było mi przeznaczone, jeszcze czułabym się szczęśliwa, pełna świadomości, że należę do ciebie niepodzielnie. Kochaj mnie, mój Franciszku! Nieszczęście zawisło nad moją głową!

— Uwielbiam cię, Joanno! Niebo mi świadkiem, że nic na świecie nie zdoła mnie odwieść od zamiaru poślubienia cię!

Nagle tuż przy nich rozległ się stłumiony śmiech...

— A więc, ciągnął dalej Franciszek, jeśli cię dręczy jakaś tajemna troska, zwierz się z nią twemu kochankowi... twemu mężowi...

— Tak! Tak, dziś wieczór... Posłuchaj, o północy będę czekała na ciebie... u mojej kochanej piastunki... musisz dowiedzieć się wszystkiego! W nocy będę odważniejsza!

— A więc o północy, najdroższa!...

— A teraz odejdź, idź... żegnaj... do wieczora...

Jeszcze jeden ostatni uścisk. Ostatni pocałunek...

Potem Franciszek de Montmorency poskoczył w zarośla i oddalił się.

Joanna de Piennes pozostała w miejscu wzruszona i drżąca.

Z westchnieniem odwróciła się. Nagle zbladła: ktoś stał przed nią. Był to dwudziestoletni mężczyzna o twarzy namiętnej, posępnem spojrzeniu i wyniosłym wyglądzie.

Joanna wydała okrzyk przerażenia:

— Henryk! To ty, Henryku!

Wyraz niewypowiedzianej goryczy wykrzywił twarz mężczyzyny. Głosem ochrypłym odpowiedział:

— Tak, Joanno, to ja! Widzę, że cię to przeraziło. Tam do licha, czyżbym nie miał prawa pomówić z tobą?!... jak on... jak mój brat!

Stała przed nim drżąca. On wybuchnął śmiechem:

— Jeśli nawet nie mam tego prawa, to je sobie uzurpuję! Tak, to ja! Ja, który jeśli już nie słyszałem wszystkiego, to przynajmniej wszystko widziałem! Wszystko! Wasze pocałunki i wasze uściski! Wszystko, powtarzam! Niech mnie pochłonie piekło! Cierpiałem, jak potępieniec! A teraz posłuchaj mnie! Na Chrystusa rany, albo nie ja pierwszy wyznałem ci miłość?! Czyż nie jestem tyleż wart, co Franciszek?

Młoda dziewczyna odpowiedziała z dziwną godnością:

— Henryku, kocham cię i zawsze będę cię kochała, jak brata... jak brata tego, któremu oddałam się na całe życie! Moje uczucie do ciebie musi być bardzo silne, jeśli nie powiedziałam Franciszkowi o niczem... i nie powiem mu o tem nigdy... ach! Nigdy!

— Aha! Pewnie dlatego, żeby mu oszczędzić niepokoju! Możesz mu jednak powiedzieć o tem, że cię kocham! Niech przyjdzie, niech porwie za broń i niech zażąda ode mnie zadośćuczynienia.

— Tego już za dużo, Henryku! Słowa twoje są ohydne, muszę użyć całej mej siły woli, aby nie zapomnieć o tem, że jesteś jego bratem!

— Jego bratem?... Powiedz raczej jego rywalem!! Namyśl się, Joanno!

— O, mój Franciszku, — szepnęła, składając błagalnie ręce, — przebacz mi, że słucham jego słów i że milczę!

Młodzieniec zgrzytnął zębami i rzekł przerywanym głosem:

— A więc odtrącasz mnie?! Mów! Mów że! Milczysz!... Ach, pilnuj się!

— Niech groźba zemsty, jaką widzę w twych oczach, dosięgnie tylko mnie!

Henryk zadrżał.

— Żegnaj, Joanno de Piennes, warknął; słyszysz!... żegnaj, — nie do widzenia!

Wzrok jego nabiegł krwią. Gwałtownie potrząsnął głową, jak ranny odyniec, i rzucił się w głąb lasu.

— Och! Oby jego zemsta dotknęła mnie tylko! — wybełkotała Joanna.

W chwili gdy wyrzekła te słowa uczuła w swem łonie jakieś dalekie, tajemnicze drżenie. Instynktowo przytuliła do łona dłonie, potem padła na kolana i zdjęta szalonym przestrachem, wybełkotała:

— Sama! Zupełnie sama! Nie, nieszczęsna! Nie jestem sama! W łonie mem żyje drobna istotka i chce żyć. Nie mogę pozwolić na to, aby to życie zgasło!

II.

PÓŁNOC.

Cisza i mrok bezksiężycowej nocy zawisły ciężko nad doliną zamku Montmorency. Hen, wdali jakiś pies na fermie wył przeciągle. Na dzwonnicy Margency wybiła jedenasta.

Joanna wyprostowała się, rachując uderzenia zegara, i porzuciła przędzenie na kołowrotku... Szepnęła:

— Drogie dziecię mej miłości, mój drogi, mały aniołek. Któż to odgadnie, jakie przejścia gotuje ci życie!

Długo milczała. Potem, marszcząc swe czyste czoło, rzekła znowu:

— Dlaczego ojciec mój dzisiaj po moim powrocie był jakiś dziwnie zgnębiony i cierpiący?! Dlaczego tak konwulsyjnie przycisnął mnie do serca? Jakże bladą była twarz jego! Próżno usiłowałam wydobyć z niego tajemnicę. Biedny ojciec! Co dałabym za to, żeby móc wziąć na siebie część bodaj jego cierpienia!... Lecz nic nie chciałeś mi powiedzieć, ojcze!... Płakałeś tylko, patrząc na mnie...

Wzrok jej padł na obraz święty w ramach, wiszący na ścianie.

Powstała z miejsca, zbliżyła się do obrazu, uklękła i złożyła ręce modlitewnym ruchem:

— Najświętsza Panienko, powiadają, że jesteś matką wszystkich matek, że wiesz wszystko i że wszystko możesz. Spraw, żeby mój pan i kochanek nie

odtrącił dziecięcia, które chce żyć... Panno Przenajświętsza, dobra i miłosierna, spraw, aby owoc mych wnętrzności nie był przeklęty... i... niech ja tylko opłakuję mój grzech.

Wybiło pół do dwunastej. Jeszcze chwilę czekała. Niepokój szarpał jej sercem.

Wreszcie zgasiła pochodnię, owinęła się w płaszcz i pchnąwszy drzwi, skierowała się w stronę chłopskiej chatki, położonej o jakieś pięćdziesiąt kroków.

Mijając żywopłot, tchnący zapachem kwiatu dzikiej róży, wydało jej się, że widzi cień ludzkiej postaci po drugiej stronie żywopłotu.

— Franciszku! — zawołała drżącym głosem.

Nikt nie odpowiedział na jej wołanie... potrząsnęła więc głową i ruszyła dalej.

Wtedy cień ludzki ruszył również, prześlizgnął się w kierunku domostwa pana de Piennes i podszedł do oświetlonego okna. Był to mężczyzna, który zapukał gwałtownie do okna.

— — — — — — — — — —

Pan de Piennes nie położył się spać. Wolnym krokiem, przygarbiony spacerował po sali, skupiając umysł na jednej myśli: co się stanie z jego Joanną. Komu ma powierzyć opiekę nad nią? Kogo ma błagać, kogo żebrać o gościnność?... Dla niej! Tylko dla niej!

Nagłe pukanie do okna przerwało jego posępny spacer po pokoju. Znieruchomiał i czekał drżący nowego nieszczęścia.

Znowu zapukano, tym razem jeszcze gwałtowniej i i silniej.

Wtedy pan de Piennes otworzył okno i wyjrzał.

Z piersi jego wydarł się ryk nienawiści, bólu i rozpaczy. Do okna pukał syn jego nieubłaganego wroga. Pod oknem stał Henryk de Montmorency.

Starzec odwrócił się, jednym susem znalazł się przy rozwieszonej na ścianie broni, zdarł ze ściany dwie szpady i rzucił je na stół.

Henryk wskoczył do pokoju przez okno. Na głowie nie miał kapelusza, wzrok jego był błędny.

Mężczyźni stanęli przed sobą, obaj bladzi, ze zjeżonym włosem, nieprzytomni ze wzruszenia.

Dyszeli ciężko, nie mogąc przyjść do słowa.

Pan de Piennes ruchem ręki wskazał na szpady.

Henryk potrząsnął głową, wzruszył ramionami i pochwycił starca za rękę:

— Nie przyszedłem tu poto, aby walczyć z panem, powiedział nieprzytomnie, bo i poco? Zabiłbym pana w walce! Zresztą nie żywię do pana nienawiści! Co mnie może obchodzić, że wpadłeś pan u mego ojca w niełaskę! Wiem, och, wiem dobrze o tem, że przez konetabla straciłeś pan zarząd nad Pikardją. Pańskie dobra de Piennes zostały skonfiskowane; z bogatego i potężnego magnata, jakim byłeś, stałeś się biedakiem... nędzarzem!

— Pocoś tu przyszedł?! Mów! — warknął stary kapitan, wymierzając w stół potężny cios pięścią. — Twoja obecność w moim domu jest dla mnie ostatnią obelgą! I... nie chcesz się ze mną bić! Ejże! Czy przyszedłeś urągać mi?! Czy to twój ojciec przysyła cię do mnie, nie mając odwagi przyjść tu sam?! Czy przyszedłeś, aby sprawdzić, czy ostatni, wymierzony przez niego cios, nie zabił mnie? Mów! W przeciwnym razie zapewniam cię, że wzywając na pomoc moją nienawiść zabiję cię bez zwłoki!

Henryk otarł dłonią zimny pot, który, okrył jego czoło.

— Chcesz pan wiedzieć, poco tu przyszedłem? Oto dlatego, że wiem, iż zawdzięczasz twą nędzę rodowi Montmorency'ch. Tak, przyszedłem dlatego, że znam twoją do nas nienawiść, niemądry starcze, chcę więc zawołać: Alboż to nie jest ohydnem świętokradztwem, że Joanna de Piennes jest kochanką Franciszka de Montmorency'ego?!

Pan de Pienes zachwiał się na nogach. Krwawa mgła przesłoniła mu oczy. Źrenice rozszerzyły się. Ramię podniosło się, jakby poto, aby wymierzyć mówiącemu policzek.

Henryk de Montmorency gwałtownym ruchem porwał starca za rękę i zmiażdżył ją w uścisku.

— Wątpisz! warknął. Głupi starcze! Powiadam ci, że twoja córka jest w tej chwili w objęciach mego brata! Pójdź za mną! Pójdź!

Ogłupiały istotnie, bezsilny, nie mogąc wydobyć z piersi głosu, ojciec Joanny nie był w stanie opierać się. Młodzieniec pociągnął go gwałtownie, kopnięciem nogi otworzył sobie drzwi, w chwilę potem obaj znaleźli się w pokoju Joanny... Pokój był pusty!

Pan de Piennes podniósł do góry ręce, jakby ruchem tym chciał rzucić na głowę córki przekleństwo, z gardła jego wydarł się zdławiony, rozpaczliwy okrzyk, podobny do krzyku zarzynanego człowieka. Krzyk ten zabrzmiał żałośnie w nocnej ciszy.

Potem zgarbiony, ciężko dysząc, chwiejnym krokiem, zataczając się, uderzając o ściany, ruszył w stronę sali...

Wszedłszy tam, padł w głęboki fotel, jak dąb złamany przez burzę...

Henryk uciekł w noc, w mrok, jak ongiś uciekł Kain.

— — — — — — — — — —

Joanna de Piennes zbliżyła się do chatki wieśniaczej. Nie weszła do wnętrza; chciała uczynić słodkie i straszliwe zarazem wyznanie, kryjąc twarz w nocnym mroku. Jej losy i losy dziecka, które nosiła w swem łonie miały się rozstrzygnąć za chwilę.

Rozległo się pierwsze uderzenie zegara, wydzwaniającego północ. Na zakręcie ścieżki, o kilka kroków od niej ukazał się Franciszek...

Poznała go natychmiast i w tejże chwili znalazła się w jego ramionach. Uścisk ramion był nieomal że gwałtowny: kochali się bowiem całą duszą.

— Najdroższa, rzekł Franciszek de Montmorency, dziś wieczór godziny naszego spotkania są policzone. Pewien rycerz przybył do naszego zamku, wyprzedzając mego ojca o godzinę drogi; konetabl po powrocie powinien zastać mnie w domu. Mów więc, najdroższa... powiedz mi, jaka tajemnica legła ci na sercu? Cokolwiek bądź mi wyznasz, pamiętaj, że słuchać będzie twego wyznania twój małżonek...

— Małżonek! Mój Franciszku! Och! — Upojona jestem szczęściem... małżonek! Czy to prawda?

— Tak, Joanno. Małżonek. Klnę się nazwiskiem moich przodków, nie skalanem dotychczas żadną skazą.

— A więc posłuchaj, rzekła drżącym głosem.

Pochylił się nad nią. Ona złożyła głowę na jego ramieniu. Chciała mówić ...szukała słów, aby uczynić wyznanie...

W tej samej chwili ciszę nocy rozdarł krzyk strasznej agonji.

Franciszek drgnął gwałtownie.

— To głos mego ojca! — szepnęła Joanna przerażona. Franciszku! Franciszku! Mordują mego ojca!

Wydarła się z ramion kochanka; zaczęła biec; po kilku minutach była już przed domem i ujrzała drzwi i okno otwarte... W mgnieniu oka znalazła się w sali: ujrzała ojca, który siedział w fotelu i charczał. Przyskoczyła do niego, wstrząsana gwałtownem łkaniem, otoczyła jego siwą głowę uściskiem ramion.

— Mój ojcze, mój ojcze! To ja! To twoja Joanna!

Starzec otworzył oczy i wbił spojrzenie w twarz córki. Cóż to było za spojrzenie! Spojrzenie to tchnęło straszliwą groźbą klątwy.

Pod wzrokiem ojca cofnęła się o kilka kroków, półprzytomna z trwogi. Wszelkie słowa stały się zbędne, zrozumiała, że ojciec wie o wszystkiem! Zrozumiała, że jest przez niego potępiona... na zawsze... Nogi ugięły się pod nią.

Upadła na kolana. Dwie piekące łzy spłynęły z jej oczu po twarzy.

Bezwiednie uczyniła wyznanie.

— Przebacz, mój ojcze! Przebacz, że go kochałam! że go jeszcze kocham! Mój ojcze, nie patrz tak na mnie... czy chcesz, żeby twoja Joanna padła trupem u twych stóp, zdjęta rozpaczą?! To nie moja wina, że go kocham... jakaś niepojęta siła rzuciła mnie w jego ramiona... Och! Ojcze!... gdybyś wiedział, jak go kocham!

W miarę tego, jak mówiła, pan de Piennes coraz bardziej prostował swą wyniosłą postać.

Był teraz podobny do jakiegoś widma.

Porwał córkę za rękę i podniósł ją z klęczek.

— Przebaczysz mi, nieprawdaż? Och, ojcze! Powiedz, że mi przebaczasz!

Nie dając żadnej odpowiedzi, doprowadził ją do progu domu wyciągnął rękę, wskazując na wyjście, na na ziejącą ciemnością nocy czeluść drzwi i rzekł:

— Odejdź! Nie mam córki!

Zachwiała się, z piersi jej wydarł się charkotliwy jęk.

W tej samej chwili ciepły, dźwięczny głos męski rozległ się w progu sali:

— Mylisz się pan! Masz ją. Przysięga ci na to twój syn!

Wraz ze słowami Franciszek de Montmorency ukazał się w kręgu światła, padającego od pochodni. Joanna wydała okrzyk nieprzytomnej radości, a pan de Piennes cofnął się, bełkocąc:

— Kochanek mojej córki! Tu przede mną! Jest to największą hańbą ostatniego dnia mego życia.

Spokojny i opanowany Franciszek pochylił się przed panem de Piennes...

Kogo zainteresował początek tej pięknej powieści, niech zaprenumeruje dzieła Michała Zevaco, a otrzyma ją wkrótce w wydaniu książkowem, w broszurze lub oprawie.

M. ŁUCZYŃSKA

Tajemnica serc

I.

Nad Litowem promieniało południowe słońce lipcowego dnia, rzucając smugę jasnego światła między gęsty łan w połowie wyciętej pszenicy, okraszonej miejscami ponsowem kwieciem dzikiego maku.

Kłosy chyliły się ciężkiemi głowami, jakby w pokłonie i za najlżejszym powiewem wiatru, wychodziło z fali złota jakoweś ciche brzęczenie, niby daleka a dziwnie słodka muzyka.

Środkiem szerokiego łanu, wijącą się figlarnie dróżyną, wracał z kosą na ramieniu Jaśko Zaremba. Uszu jego dolatywały oddalone głosy wracających z pola przed spiekotą południa, żniwiarzy.

Szedł, smukły niby młody dębczak, pogwizdując jakowąś nutę przechodzącą w żałosną melodję.

Z pod wyblakłego od słońca kapelusza, wyzierało mądre, wysokie czoło z przecinającą go lekką bruzdą i para błękitnych, jasnych jak lazur nieba oczu, odważnie spoglądała w świat.

Hardość jakaś dziwna wyzierała z całej postaci Janka i czar młodości.

Uśmiechały się usta ponsowe, błyskając raz po raz zębami, niby sznurem pereł.

— Jak się masz, Janku — posłyszał Zaremba tuż za sobą łagodny głos i szeroka, spracowana ręka spoczęła na jego ramieniu.

— Dzieńdobry, panie wójcie, nie widziałem, kiedyś nadeszliście za mną.

— Widzę ja, widzę, żeś w zamyśleniu wielkiem, ale bo i nic dziwnego. Rok za rokiem mija, a ty sam, jak kołek w domu przesiadujesz.

Zaremba lekceważąco machnął ręką.

— No, no już ty mi nie powiesz, że ci przyjemne takie życie — zaperzył się wójt.

— I ja byłem młody! Wiem, oj, wiem, co to za dola.

— Dobrze mi samemu, — mruknął Janek pod nosem.

— Dobrze nie dobrze, zawsze tam we dwoje lepiej.

Przeszli parę kroków w milczeniu.

— Bywaj zdrów, Janku, a zajdźże do nas wieczorem, będziemy ci wszyscy radzi.

Zaremba uchylił kapelusza.

— Dziękuję wam, panie wójcie, pokłońcie się Anusi.

Wójt z uśmiechem skręcił na szeroką drogę wijącą się między rozrzuconą siecią chat.

Pośród bielonych chałup, wznosił się na wzgórzu nieco, ładny, długi w kształcie dworku, z gankiem na słupach, opleciony winogradem, dom Zaremby. Janek był sierotą. Matki nie pamiętał zupełnie, ojciec spełniając życzenie żony, oddał chłopaka do szkół, dopiero w kilka lat potem, poczuł osamotnienie i Jaśko wrócił pod rodzinny dach.

Mimo ogłady i przeszkolenia był zawsze skromnym i nie wywyższał się, co by niejeden z parobczaków uczynił będąc na jego miejscu.

Ubiegały się dziewczęta o miłe słówko od Jaśka, ubiegały się o powrót z kościoła. Janek dla każdej miał uśmiech na pięknej twarzy, ale obrazu żadnej nie nosił w sercu.

Wróciwszy do domu zasiadł na schodkach ganku i zamyślił się o zaprosinach wójta. Wiedział oddawna, że swatano mu wójtównę, Ankę. Ale choć dziewczyna nieraz lotem błyskawicy przeleciała przez głowę Jankową, długo tam pozostać nie mogła.

Zastanawiał się Jasiek nad słowami wójtowemi, zastanawiał i smutek jakiś coraz gęściejszą zasłoną począł powłóczyć duszę Zaremby.

– Bo i prawda, — człowiek sam, jak ten kołek. Ani do kogo przemówić, ani się z kim radością podzielić, ni smutkiem... Ale bez kochania też nie lepsza dola.

Zaremba w całym domu mieszkał ze starą Banaszką, która jeszcze go na ręku nosiła i dziewczyną do posługi, Jagną, głuchą jak pień, oraz dwoma parobkami, którzy więcej przebywali w oborze i stajni, niż w izbie czeladnej.

— Takie pięć włók ziemi — biadała Banaszka — taki śliczny przychówek i wszystko się marnuje bez gospodyni.

— Kiedy mnie nikt nie chce, Banasiu, — podśmiewał się Janek.

— E, bo jak kto grymasi i sam nie wie kogo chce, to i tak idzie, gderała babina.

— A bo to wójtówna nie malowanie panna? I nie biedna i nie byle kto, ale jak się paniczowi chce gwiazdki z nieba, to nikt na to nie poradzi.

Jasiek pochyla głowę i duma.

A możeby i dobrze było z tą wójtówną? Ładna bo ładna, ale jakoś obca...

Minęło lato. Sprzątnięto z pól. Pustka jeszcze większa wyzierała ku Janowi z każdego kąta. Ot, czasem wyjechał do Lwowa, gdzie spotykał się ze swym szkolnym kolegą hr. Zbigniewem Krasińskim, ale wolał nie jeździć, bo wracał jeszcze bardziej przygnębiony.

Tymczasem szara i płacząca szaruga jesiennych słot, poczęła się włóczyć między polami. Czasem zrywał się wiatr i z żałosną skargą leciał w przestwór, unosząc w swych szponach ostatnie liście i zwalał je w jeden wielki, szeleszczący orszak.

Zaremba otulił się płaszczem, podniósł wysoki kołnierz i wyszedł w otchłań, jęczącej wichrem jesiennej nocy.

Marzycielska dusza Jana, ciągała go za sobą w pola rozegrane wichrem i pustką ogromną, w szare tumany fantazyjnych mgieł.

Gdyby Jasiek był, ot, takim sobie zwykłym Zarembiakiem, osiadłym na krwawo zapracowanych przez ojców pięciu włókach, może i szczęśliwym byłby i zadowolonym.

Uganiałby się z innymi parobczakami, za czerwonemi piętami Kasiek i Marysiek, co niedziela wywinął w karczmie obertasa takiego od ucha do ucha, aż by zadudniało w chałupie i weselił się urodą życia.

Ale Jan Zaremba, który w samej stolicy skończył osiem klas gimnazjalnych, który uczęszczał do konserwatorjum muzycznego, który napatrzył się na piękne panie, inaczej już rozumiał życie i nieraz żałował, że nie jest takim sobie zwykłym Zarembiakiem, rwącym się ochoczo do obertasów.

A i żadna panna z Litowa nie przypadła mu do gustu, choć nigdy nie okazywał swej wyższości umysłowej. Było kilka takich, coprawda, co to po siedem klas szkoły powszechnej pokończyło, do tych i Anka wójtówna należała, ale jakoś wszystkie wydawały się Janowi dziwnie obce. Zaremba szedł w głębokiem zamyśleniu i ani spostrzegł, jak znalazł się przed wójtową zagrodą.

Zawahawszy się lekko, zapukał po omacku w bramę.

— Kto tam? — odezwał się ochrypły głos parobka.

— Otwórzcie Marcinie, to ja...

— O lo Boga! — zawołał chłop. A to ci się wójtostwo uradujum. Psa by na taki ziumb nie wygnoł.

Jan poklepał parobka po ramieniu.

— Nie jest tak źle, jak się wam zdaje, mój Marcinie.

Otworzyły się nagle drzwi domostwa i buchnęła z nich smuga światła pomieszana z wonią świeżo duszonego mięsiwa.

— W imię Ojca i Syna, chodźże Janku! — zawołał wójt, stając w progu. Skąd się tu wziąłeś o tak późnej porze?

— A no pola obchodziłem, a zobaczywszy światło w domu sąsiada, przyszedłem na pogawędkę.

— I dobrześ zrobił, bo to człowiek gęby niema do kogo otworzyć a pogadać.

Pchnął Zarembę w głąb mieszkania.

— Patrzcie no kobiety jakiego wam gościa prowadzę! — zawołał do siedzącej przy stole żony i córki.

Pani wójtowa, jako to z urzędu ważną funkcję pełniąca, gospodyni na trzech włókach ziemi, podniosła się od stołu i z zadowoleniem łypnęła oczami w stronę Anki. Wójtówna była w istocie piękną dziewczyną.

Rosła, słusznego wzrostu, doskonale rozwinięta, oczy miała wielkie, dzikie, czarne jak ta noc jesienna, usta lubieżne, których dolna warga przedzielona w środku, wydawała się dwiema ponsowemi wiśniami.

Wójt wskazał Janowi miejsce obok córki.

— Usiądź że, Janku, zjesz z nami wieczerzę.

— Nie głodny jestem.

— E, co tam dużo gadać! I ja byłem młodym, to wiem co to znaczy.

— Baśka, a Baśka! Chodźże no tu! — wrzasnął na całe gardło.

Przez uchylone drzwi kuchni, wsunęła się do połowy mała główka, okryta bogactwem wijących się, złotych włosów i para dużych, sennych, niby z bajki oczu, o migotliwem połysku szafiru, spoczęła na pięknej twarzy Jana i jakby z lękiem cofnęła się w głąb kuchni.

— Baśka, podaj że no nakrycie dla gościa! — zawołała nieco piskliwie pani wójtowa, uradowana przybyciem Zaremby, który siedział jak skamieniały, spoglądając od czasu do czasu w drzwi kuchni w których ukazała się postać młodziutkiej dziewczyny ze stosem talerzy w czerwonych, ale drobnych i rasowych rękach.

W swej połatanej, flanelowej sukience, ze złotemi warkoczami, sięgającemi kolan, była tak cudną, że Zaremba wzroku od niej nie mógł oderwać.

Poczuł najwyraźniej, jak dusza się w nim kołysać poczęła, a serce zabiło żywszem tętnem. Wójtowa stawiała przed nim talerze z dymiącą pieczenią, którą bezzwłocznie jeść zaczął, odpowiadał bez związku, nawet uśmiechał się, ale uchem łowił głos Baśki, dolatujący przez uchylone drzwi kuchni.

Dźwięki tego głosu, wydawały się Jaśkowi, drgającą mu oddawna w duszy tęsknotą, wnikały w serce z tamowanym prawie oddechem, radość i ból zlały się w nim w jedną, nieznaną nutę.

A tymczasem wójt, wypiwszy sobie kielich wiśniówki rozgadał się na dobre.

— Ładny urodzaj tego roku, mój Janku, możeby tak zrobić jaki użytek z tegorocznego zbioru. Pieniędzy trzymać nie warto. Na dobroczynne cele już człowiek dosyć nadawał. Albo Baśkę, nie przygarnąłem to, jak własne dziecko?

— Czy to źle ma dziewucha?

Jan korzystając z zaczepki wójta, a pragnąc się dowiedzieć czegoś o Baśce rzucił:

— Skądżeście wzięli tę dziewczynę, panie wójcie?

— A bo to widzisz... — zaczął wójt, pociągając z kufla.

— Idzie ci banda cyganów, a dzieciak im wrzeszczy w bryce. Tak gospodarze poznali, że to jakoś nie wygląda na cyganiątko, bo skórę miało jako księżniczka jaka, a ładna, a śmiejąca się, tak chłopi zabrali dzieciaka i do przytułku z nim chcieli. Miało to pewnie ze cztery lata. Ale od czego ja wójt? Czy to mnie nie stać było zabrać to na wychowanie? Czy to się nie przyda? Takiem Baśkę zabrał czarnej hołocie. Pytam dzieciaka, jak się nazywasz? A ona w bek i powiada: Nelli... Pogańskie jakieś imię, czy co. Nazwaliśmy ją Baśką i Baśką została.

— Jakem Kaczor, nie miało to pewnie 4-ch lat nawet. Do gęsi poszła. Nie chciała paść coprawda, ale jak jej kiedyś rózgą po plecach przemówiłem do rozsądku, tak się wzięła do pasionki, aż miło było patrzeć. Nie małom miał kłopotu. Gdzie ci znalazła jaką książkę z obrazkami, ogląda, a pyta o litery, tak musiałem posłać do szkoły. Skończyła siedem oddziałów, nie z mojej woli coprawda, bo chciałem odebrać. Poco to dziewusze? Ale i nauczycielstwo i ksiądz na mnie wsiedli, że się niby okrutnie rwała do nauki, takiem musiał zezwolić. Za to teraz zapędziłem do roboty, boć nie wziąłem ją na wystawę.

— Biedna sierotka... — pomyślał Zaremba i poczuł, że mu w sercu wykwita jakieś nieznane uczucie, niby pęk różany, że jakaś radość wielka, jakieś wielkie kochanie, wzbiera mu w sercu cichutko.

Wesoło mu się nagle zrobiło.

Napełnił kieliszek, stojący przed Anką.

— Za twoje zdrowie, Anusiu.

— A jak się upiję?

Błysnęła ku niemu mrocznym urokiem czarnych ślepi.

— Ej! Raz kozie śmierć! Pij, Anuś...

— No, jak pić, to pić, — przechyliła kieliszek, uśmiechając się koralami ust.

— O, zuch Anka! Hu! Ha! — krzyknął wójt, podchmielony już trochę.

— Tak to mi się podoba. Za moich czasów panny się tam nie dawały wiele prosić. Wódka toć przecie nie trucizna. Coprawda zakręci człowiekowi trochę we łbie, ale od tego się nie umiera. Chodź stara, niech mło-

dzi pogadają sobie trochę. Ująwszy żonę pod ramię, wyszli do alkowy, podśpiewując wesoło.

Anka ośmielona pochwałą ojca i namową Janka, zaczęła znów napełniać kieliszki.

— Bo naprawdę upijesz mnie, Aniu!

— E, co to za chłop byłby z ciebie, gdybyś się upił kilkoma kieliszkami.

A jemu się naprawdę zaczęło mroczyć w głowie.

— Tyś cała sobą mnie upoiła, dziewczyno.

Przyciągnął do siebie spłonioną wójtównę.

— Co ty mówisz, Janku?

Żar buchnął na rumianą twarz Anki. Musnęły go czarne kędziory jej włosów. Przed szeroko rozwartemi oczami Zaremby, zakwitły słodkie wiśnie ust Anki. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął silnie do siebie...

Kogo zainteresował początek tej pięknej powieści, niech zaprenumeruje Dwanaście Książek Autorów Polskich, a otrzyma ją wkrótce w wydaniu książkowem, w broszurze lub oprawie.

Repertuar Teatrów

Teatry: Wielki, Narodowy, Nowy, Letni, Polski i Mały — nieczynne.

Teatr na Chłodnej: „Roxy“.

Teatr Ateneum: „Gołębie serce“ z Jaraczem.

Teatr Nowości: operetka „Błękitny Express“.

Teatr Wesołe Oko: rewja „Wesołego Oka“.

Teatr Morskie Oko: „Hallo! Ameryka“.

Teatr Nowy Ananas: „Raj bez mężczyzn“.

Teatr Mignon: rewja „Wszyscy na jednego“.

REDAKTOR I WYDAWCA: STANISŁAW CUKROWSKI.

Zakł. Gr. Pr. Dr., Warszawa, N.-Świat 54, tel. 615-56 i 242-40.